

Jerzy Romanowicz

Ucieczka z Oświęcimia

Słupskie Studia Historyczne 8, 313-320

2000

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

JERZY ROMANOWICZ

PAP SŁUPSK

UCIECZKA Z OŚWIĘCIMIA

Z KL Auschwitz-Birkenau podejmowało próbę ucieczki 667 więźniów¹. Większość z nich ujęto lub zastrzelono podczas pościgu. Tylko nielicznym udało się zbiec. W tej grupie znaleźli się między innymi: Witold Pilecki, nr obozowy 4859, występujący tam jako Tomasz Serafiński, Jan Redzej² (nr 5430), przebywający w obozie pod fałszywym nazwiskiem Jana Retko i Edward Ciesielski³ (nr 12969).

Pilecki dostał się do Oświęcimia dobrowolnie, by zorganizować konspirację wojskową (założył Związek Organizacji Wojskowej; ZOW) i przygotować więźniów do walki zbrojnej. Kiedy osiągnął cel i pozostało jedynie oczekiwanie na sygnał i pomoc z zewnątrz, Komenda Główna Armii Krajowej nie odpowiadała na ponaglenia. Ponadto obozowe gestapo niemało spraw konspiracyjnych zdołało już pokrzyżować i spowodować duże straty w ZOW. Należało również spodziewać się, że kolejne miesiące będą jeszcze bardziej dramatyczne. To wszystko skłoniło Pileckiego do podjęcia decyzji o ucieczce i osobistej interwencji u gen. Stefana Rowe-

¹ A. C y r a, *Kim był rotmistrz Pilecki?* Morze i Ziemia nr 14/331/ z 5-11.4.1989, s.1.

² Jan Redzej zginął 5 VIII 1944 r. w Powstaniu Warszawskim. Z relacji Witolda Pileckiego dowiadujemy się, że: „O godzinie 13.15 por. „Ostrowski” (Jan Redzej), prowadzący nadal osobiście akcję na Starostwo, zostaje strzałem od ul. Chałubińskiego śmiertelnie ranny i umiera w godzinę po tym ze słowami: „Dla Polski”. Studium Polski Podziemnej w Londynie (SPP). Teki Personalne W. Pilecki. Nr 1785/III,3/2/BI. Historia I Batalionu Zgrupowania „Chrobry II”, s. 4.

³ Edward Ciesielski, ps. „Kula”, urodził się 16.11.1922 r. w Woli Korzeniowej. Do obozu oświęcimskiego przywieziony za posiadanie broni. Należał do najmłodszych członków wojskowej konspiracji obozowej. Został ciężko ranny w Powstaniu Warszawskim. Niestety, przeżycia wojenne i lata więzienia w Polsce Ludowej zniszczyły jego organizm. Zmarł 23.10.1962 r. w Warszawie. Daty podano na podstawie aktów stanu cywilnego. Por. J. G a r l i ń s k i, *Oświęcim walczący*, Warszawa 1992, s. 239; W. J. W y s o c k i, *Rotmistrz Pilecki*, Warszawa 1994, s. 222, przyp. 13.

kiego, ps. „Grot”, w sprawie przeprowadzenia akcji zbrojnej, mającej na celu uwolnienie więźniów obozu oświęcimskiego przy pomocy z zewnątrz (desant, bombardowanie, oddziały partyzanckie)⁴.

Na współtowarzyszy ucieczki Pilecki wybrał dwóch członków ZOW: Jana Redzeja i Edwarda Ciesielskiego. Miejszem, z którego postanowili oni opuścić kacet była piekarnia, znajdująca się poza drutami obozu⁵. Więźniowie zamierzali uciekać w czasie Świąt Wielkanocnych, spodziewając się rozluźnienia dyscypliny wśród obozowej załogi. Wybrali na to świąteczny poniedziałek – w nocy z 26 na 27 kwietnia 1943 roku.

Poniższy opis ucieczki jest fragmentem relacji pt. „*Oświęcim*”, napisanej przez Witolda Pileckiego w 1945 roku w San Giorgio we Włoszech, która znajduje się w Studium Polski Podziemnej w Londynie⁶, a znikrofilmowana – w Archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu. W tekście dokonano niezbędnych poprawek językowych a w nawiasach kwadratowych uzupełniono nazwiska i nazwy miejscowości.

* * *

„(...) Jasiek [Redzej] miał wiele siły, u mnie zdwojona była napięciem wszystkich nerwów – drzwi jednak wydawały się mocniejsze od nas.

Włożyliśmy w nacisk na drzwi cały wysiłek, na jaki nas było stać, gdy wtem ... gwałtownie i bezdźwięcznie jednocześnie – rozwarły się przed nami. Powiało na nasze rozpalone głowy chłodem, błysnęły gwiazdy na niebie, jakby mrugając porozumiewawczo...

Wszystko to mieściło się jakoś w jednym mgnieniu oka. Skok w ciemną przeszeń i bieg w kolejności Jasiek, ja i Edek [Ciesielski].

⁴ A. C y r a, W. J. W y s o c k i, *Rotmistrz Witold Pilecki*, Warszawa 1997, s. 82.

⁵ Piekarnia Landsmann była komandem zewnętrznym (*Aussenkommando*) i mogli w niej pracować tylko niektórzy więźniowie, i to za zgodą Oddziału Politycznego (*Politische Abteilung*). Skierowania były wydawane i podpisywane przez *Arbeitsdienstführera*. Był nim wówczas *SS-Hauptscharführer* Hessler.

⁶ Pilecki po napisaniu relacji z obozu w Oświęcimiu jej treść przedstawił zaufanym osobom. Stąd pojawiła się propozycja wydania jej w Stanach Zjednoczonych połączona z wysokim honorarium. Człowiekowi o tak głębokim patriotyzmie, jakim był Witold Pilecki, branie za to pieniądze kojarzyło się z postawą amoralną, gdyż wciąż żył w świecie ideowej walki z wrogiem. W liście Pilecki stwierdza: „*Może ktoś w Londynie tym się również zainteresuje. (...) Nie ma tu „słowa za wiele”, kłamstwem jakieś sprofanowałoby wspomnienia o świątecznych postaciach, które tam zginęły*”. SPP. Teki Personalne W. Pilecki. List rtm. Witolda Pileckiego do nie wymienionego z nazwiska generała z 19.10.1945 r. Chodzi tu o gen. Tadeusza Pełczyńskiego, z którym Pilecki spotkał się w następnym dniu po napisaniu listu w San Giorgio oraz 23.10. w Rzymie, będąc już w drodze do Polski. W. J. W y s o c k i, *Rotmistrz*, s.104.

Jednocześnie syknęły się strzały za nami. Jak biegliśmy szybko – trudno opisać. Kule nas nie tknęły. Rwaliśmy powietrze w strzepy szybkimi ruchami nóg i rąk – tułowia. Gdy byliśmy mniej więcej sto metrów od piekarni, zacząłem krzyać: „Jasiek! Jasiek!” – Lecz Jasiek gnał naprzód jak koń wyścigowy. Gdybym mógł go dopędzić, chwycić za ramię i – zatrzymać ..., lecz odległość między nami trzema była wciąż jednakowa, pędziliśmy wszyscy dość równomiernie.

Strzałów było za nami dziewięć. Potem ucichło. Esesman przypuszczalnie rzucił się do telefonu. Ten, co spał, na pewno przez pierwszą minutę był całkowicie dezorientowany.

Chciałem zatrzymać Jaśka dlatego, że miałem w planie kierunek marszu pod kątem prostym w prawo od kierunku, którym mknęliśmy teraz. Udało się to mniej więcej po 200 – 300 metrach. Jasiek zwolnił, ja dopadłem jego, Edek również dobiegł.

„No, co?” – pytał Jasio zadyszany.

„Teraz już chyba nic” – odrzekłem.

„Mówiłeś, że masz dalszy plan marszu”.

Zgadzało się, plan miałem. Miałem przebrnąć Sołę i iść po drugiej stronie rzeki w kierunku odwrotnym – wprost na obóz i dalej na południe, na Kęty. Lecz bieg Jaśka w kierunku północnym wszystko zmienił. Teraz już zawracać było zbyt późno. Było po drugiej po północy. Należało [się] spieszyć.

„Więc co teraz?” – pytali koledzy.

„Nic – ubierajmy się” – rzekłem do Edka – „Ja poprowadzę inaczej”.

My dwaj byliśmy nago, w kąpielówkach, z wążkami ubrania pod pachą. Biegliśmy dotychczas wzdłuż rzeki Soły, w pewnej odległości od niej, lecz na północ.

Teraz, po ubraniu się i pozostawieniu dobrze ukrytych w krzakach spodni w pasy, które przez omyłkę wzięliśmy ze sobą, poprowadziłem na sam brzeg rzeki (lewy) i brzegiem dalej na północ – krzakami.

Edek zapytany, czy ma paczkę ze sproszkowanym tytoniem, oświadczył, że miał, ale już wszystko w biegu się wysypało. Jeśliby psy puścili po śladach, naważają się tabaki. Tytoń ten suszyłem i starłem na tabakę już bardzo dawno, jeszcze pracując w łyżkarni (garbarnia), skąd mieliśmy przygotowywać niegdyś ucieczkę dla kolegów. Teraz co prawda zbyt szybko się wysypała, lecz zawsze mogła nieco chronić ślady. Nie zmieniając raz obranego kierunku na północ – mieliśmy przed sobą widły rzeczne. Soła wpadała do Wisły – lecz przed tym jeszcze przez Sołę w prawo był most kolejowy, podług zebranych wiadomości strzeżony stale przez wartownika.

„Tomek [Pilecki] – gdzie idziesz?” – pytał Jasio.

„Nic nie gadaj! Nie mamy innego wyjścia i nie mamy wiele czasu. Idziemy możliwie najkrótszą drogą”.

Zbliżaliśmy się do mostu. Szedłem pierwszy. Miałem podbite gumą podszwy, za mną 10 – 15 kroków szedł Jasio, na końcu – Edek.

Ostrożnie, obserwując budkę z lewej strony na przyczółku mostu, wszedłem na nasyp kolejowy i most. Koledzy szli za mną. Cicho stąpając, zaczęliśmy jednak dość szybko posuwać się po moście. Przeszliśmy już część trzecią ..., potem połowę ... Zbliżyliśmy się już do przeciwnego brzegu ..., do końca mostu ... Na razie szliśmy bez przeszkód. Gdy wreszcie most się skończył, skoczyliśmy szybko w lewo z nasypu na łąkę czy pole.

Niespodziewanie dla nas most przebrnęliśmy bez przeszkód. Posterunek musiał się gdzieś zabawić w święta w przyjemnym towarzystwie.

Dalej, z lewej strony toru, obrałem kierunek na wschód, wzdłuż Wisły. Orientować się było łatwo – niebo było pełne iskrzących się gwiazd. Już czuliśmy się w jakimś stopniu wolni. Od całkowitego odczuwania wolności odgradzało nas jeszcze uczucie niebezpieczeństwa.

Rozpoczęliśmy bieg na przelaj. Z prawej strony zostawało miasteczko Oświęcim. Przesadzaliśmy rowy, przebiegaliśmy w poprzek drogi, biegliśmy po zaoranych polach i łąkach, to zbliżaliśmy się do Wisły, to oddalali, w zależności od skrętów rzeki.

Potem dopiero mogliśmy podziwiać, ile człowiek może zrobić wysiłku, gdy pracują wszystkie nerwy.

Zdobywaliśmy wznoszące się w górę zaorane pola. Zjeżdżaliśmy po skarpach cementowanych lub wdrapywaliśmy się jak koty na takie skarpy, jakichs regulowanych kanałów. Ominął nas, dopędzając jakiś pociąg, gdy szliśmy przy torze.

Wreszcie po kilku kilometrach, jak nam się wydawało wtedy dziesięciu (było trochę mniej), zza wyniosłości ujrzelśmy przed sobą na naszej drodze – płoty, baraki, wieżyczki, druty ... Przed nami był obóz. I tak dobrze nam znane pełzanie świateł reflektorów.

W pierwszej chwili prawie zdębieliśmy, lecz w następnej – zdecydowaliśmy, że jest to filia naszego obozu, tak zwana „Buna”⁷. Nie mieliśmy czasu na zmianę kierunku. Świt barwił już niebo ...

Z lewej strony zaczęliśmy obchodzić w tempie przyspieszonym obóz. Zetknęliśmy się z drutami. Zsuwaliśmy się i drapaliśmy się znowu po skarpach. Przechodziliśmy kanały po kładkach. W jednym miejscu ostrożnie przesunęliśmy się po kładce, przez którą pieniać się przelewała się woda. Omijaliśmy druty w wodzie, obchodząc je. Wreszcie i ten obóz został za nami.

Dobiegliśmy, bo ciągle jeszcze biegać byliśmy zdolni, do brzegu Wisły i brzegiem zaczęliśmy posuwać się dalej, szukając na wszelki wypadek miejsc do ukrycia na dzień.

Już dniało. Nie było dla nas większej jakiejś osłony. Ciemny pasek lasu czernił się daleko na horyzoncie. Zrobiło się zupełnie jasno. Tuż przy brzegu Wisły

⁷ Podobóz w Monowicach „Bunawerke”. J. G a r l i ń s k i, *Oświęcim*, s. 148.

znajdowała się wieś. Na wodzie kołysały się łódki, własność mieszkańców tej wioski. Postanowiłem przepłynąć łodzią przez Wisłę. Łodzie były przycumowane łańcuchami do wbitych pali. Łańcuchy zamknięte na kłódki. Obejrzelśmy łańcuchy. Jeden z nich był złączony z dwóch kawałków za pomocą śruby. Jasiek wyjął klucz (kawał sztaby z otworem na mutrę), którym odkręcał śrubę w piekarni. Zaskoczył nas znowu zbieg okoliczności. Klucz akurat pasował na mutrę⁸. Odkręciliśmy mutrę. Łańcuch rozpadł się na dwie części.

Wschodziło właśnie słońce.

Wsiadliśmy do łodzi i odbiliśmy od brzegu.

W każdej chwili mógł ktoś wyjść z domów wioski, odległych zaledwie kilkadziesiąt kroków od nas.

Kilkanaście metrów przed przeciwległym brzegiem łódź natknęła się na mieliznę. Nie mieliśmy czasu na spychanie. Skoczyliśmy do wody i brnęliśmy dalej pieszo, brodząc pod samym brzegiem po pas.

Zgrzane przez noc całą i bieg ciało i stawy, pogrążone w zimnej wodzie, zareagowały. Na razie nic jeszcze nie czuliśmy – szybko wyskakując na brzeg Wisły.

W odległości mniej więcej dwóch kilometrów był ciemny pas lasu.

Las tak bardzo przeze mnie kochany, do którego tęskniłem przez lat kilka, w tym wypadku był zbawieniem, był pierwszą prawdziwą zasłoną w terenie, która nas mogła ukryć.

Nie można powiedzieć, żeśmy do tego zbawienia pobiegli. Biec nie mieliśmy już sił. Szliśmy przyspieszonym krokiem, a nawet czasami z braku sił zwalnialiśmy tempo.

Słońce świeciło już jasno.

W oddali słychać było warkot motocykli na szosach – może nawet w pościgu za nami...

Myśmy szli wolno...

Moje i Edka ubrania, z bliska może nieco podejrzane, z daleka mogły ujść za ciemne, nierazące sylwetki. Jasia natomiast piękny cywilny garnitur raził z daleka krzyzącymi przeraźliwie czerwonymi pasami⁹.

W oddali widoczni byli jacyś ludzie pracujący na polu. Musieli nas widzieć.

Las zbliżał się powoli.

Dziwne – po raz pierwszy w życiu poczułem zapach lasu z odległości przeszło stu metrów. Opadł naraz wszystkie zmysły potężny aromat, przemiły świergot

⁸ Nakrętka.

⁹ W Oświęcimiu, z powodu braku pasiaków, więźniowie nosili często cywilne ubrania, odebrane nowoprzybyłym, lub stare mundury z namalowanymi olejną farbą czerwonymi pasami. Komanda wychodzące poza obóz musiały nosić pasiaki, ale Redzej był zastępcą kapa i dlatego nosił cywilne ubranie. To ułatwiło mu ucieczkę, bo nie musiał pod pasiakiem kryć cywilnego ubrania.

ptaków, powiew wilgoci, zapach żywicy... Wzrok się zagłębił w bliską już głębię tajemniczego boru.

Weszliśmy na kilkanaście pierwszych drzew i legliśmy na miękkim mchu. Leżąc na wznak, wysyłałem ponad wierzchołki drzew myśl, która radośnie zwijała się w wielki znak zapytania. Metamorfoza. Co za kontrast z obozem, w którym – zdaje mi się – przeżyło się lat tysięcy...

Szumiały sosny, lekko kołysząc swe ogromne czapy wierzchołków. Niebieszczyły się skrawki przestworzy pomiędzy konarami drzew. Świeciły brylanty rosy na listkach krzewów i traw. Słońce miejscami wnikało złotymi promieniami, rozświetlając życie tysięcy małych istnień, świat żuczków, meszek, motyli. Świat ptaków, jak przed lat tysiącem, nadal tak samo w określonych ramach zwijał się, zabiegał, tętnił własnym życiem.

A jednak, pomimo tylu odgłosów życia lasu, panowała tu cisza, cisza ogromna, cisza izolowana od wrzasku ludzkiego, od wszelkich podłostek bliźnich, cisza, w której nie było człowieka.

Myśmy się nie liczyli.

Dopiero wracaliśmy na ziemię. Do grona ludzi dopiero mieliśmy być zaliczeni. Jakże bardzo byliśmy radzi, że jeszcze ich nie widzimy. Zdecydowaliśmy być od nich jak najdalej, jak długo to będzie możliwe.

Bardzo długo bez ludzi trwać jednak było trudno... Jedzenia wcale nie mieliśmy. Na razie jeszcze nie odczuwaliśmy wielkiego głodu. Jedliśmy sałatę zajęczą, piliśmy wodę ze strumyka. Byliśmy zachwyceni wszystkim. Cały świat był dla nas kochany, tylko nie ludzie... Miałem pudełeczko miodu przysłane z domu i łyżeczkę herbatnią. Kolejno karmiłem Jasia i Edka, i sam zjadałem, każdemu dając jedną łyżeczkę.

Leżąc omawialiśmy wypadki tej nocy. Jasio miał łysinę, więc nakrycia głowy nie potrzebował. My z Edkiem mieliśmy ostrzyżone głowy. Żeby ukryć brak włosów przed ludźmi, wzięliśmy z piekarni, z rzeczy piekarzy, dwie czapki cywilne, lecz Edek swoją zgubił w biegu po krzakach w nocy. Teraz zawiązał kobiecą chusteczkę na głowie. Dlatego nazwaliśmy go Ewunią.

Jasio – dla odmiany – nazwał się Adamem i patrząc na jakąś zieloną gałąź, za nazwisko obrał Gałązka.

(...) Po wypraniu przez Jasia czerwonych pasów na garniturze w wodzie strumyka i wysuszeniu przeze mnie zamoczonych w bucie czterech banknotów, pomaszzerowaliśmy dalej na wschód, idąc lasami, przeskakując niewielkie tereny otwarte lub obchodząc większe brzegiem lasu.

Zasadą było: jak najdalej od ludzi!

Przed samym wieczorem mieliśmy niewielkie zajście z gajowym, który z pewnej odległości zobaczył nas, gdy zjadaliśmy ostatni miód, i chcąc nas zatrzymać, zabiegł nam drogę. Wtedy wlałem w młodniak, który akurat nam wyrósł tu w porę. Młodniak był tak gęsty, że można było tylko posuwać się pełzając.

W młodniaku już zmieniłem kierunek i wybrnąłem z niego przy szosie. Przeskoczyłem szosę i znowu zaszyliśmy się w młodniak. Gajowy stracił ślad, myśmy się trzymali szosy, bo prowadziła podług napisów na słupach do miejscowości [Lipowiec], która leżała na naszym kierunku.

Do miejscowości tej zbliżyliśmy się już po zachodzie słońca. Na górze przed miejsciną wznosiły się ruiny zamku. Okoliliśmy otwarty teren przed miasteczkiem z lewej strony. Przebrnęliśmy szosę pomiędzy domkami i udaliśmy się na zalesione wzgórze, wprost do ruin zamku. Koło ruin, na zboczach wzgórze, zakopani w zeszlóroczne liście, legliśmy zmęczeni ogromnie, by zasnąć ...

Tak minął wtorek (27 kwietnia).

Edek zasnął natychmiast. My z Jaśkiem mieliśmy po zimnej kąpieli zapalenie stawów, a ja jeszcze na dodatek ischiasowe zapalenie nerwu. Ostatnią godzinę marszu posuwałem się pchany tylko siłą woli. Prócz bólu w prawym biodrze, ból w stawach kolan, szczególnie przy schodzeniu z pochyłości, był tak dotkliwy, że iść mogłem tylko zaciskając zęby. Teraz, leżąc odczuwałem mniejszy ból, lecz ciągle jednak mi dokuczał. Jasięk, leżąc, bólu nie odczuwał i zasnął również. Ja usnąć nie mogłem. Korzystając z tego, zacząłem rozważać, co robić dalej.

Osiem kilometrów dalej była granica pomiędzy Śląskiem przyłączonym do III Rzeszy i Generalnym Gubernatorstwem, którą musieliśmy przebrnąć. Układałem plany przez długie godziny, już na wpół drzemiąc, jak dobrnąć, jak przejść granicę i gdzie się udać potem. Raptem, jakby mnie oświeciła myśl zbawcza jakaś, aż siadłem na liściach i ... syknąłem z bólu. Przypomniał mi się rok 1942. Praca w łyżkami (garbarnia), gdzie na stanowisku schreibera¹⁰ był kolega [Tadeusz Słowiacek(?)nr obozowy 1609], z którym rozmawialiśmy często bardzo szczerze. Mówił mi, do kogo pisuje listy, że jego stryj jest księdzem, tuż przy samej granicy, że parafia księdza leży po obu stronach i że proboszcz jeździ za granicę i może jechać z furmanem, którego może ewentualnie zostawić za granicą. Do miejscowości, gdzie mego przyjaciela krewny był proboszczem, było kilometrów siedem lub osiem tylko.

Edek przez sen zaczął coś mówić, początkowo niewyraźnie, lecz potem pytał jakiegoś Bronka o chleb, czy dla niego przyniósł (był głodny – więc marzył o jedzeniu w nocy). Nagle zerwał się z postania i zapytał głośno, aż się Jasięk zbudził:

- „No co? Przyniósł chleb?”

- „Kto miał przynieść chleb?”

- „No, Bronek!”

- „Uspokój się kochany. Widzisz, jest las, zamek i my śpiący w liściach. Śniło ci się...”

Edek się położył. Lecz teraz ja się podniosłem. Była godzina czwarta. Postanowiłem rano dotrzeć do księdza. Mieliśmy kilometrów niewiele, lecz bolące stawy.

¹⁰ Pisarz blokowy, prowadzący kartoteki personalne więźniów.

Ja z bólu w kolanach ledwo nogami ruszałem. Jasiiek, ociągając się, wstał, lecz się zatoczył i zaczął staczać się po pochyłości wzgórza. Z bólu w stawach kolan o mało nie zemdlał. A jednak opanowaliśmy się.

Pierwsze kroki były ciężkie i bolesne, szczególnie gdy schodziliśmy po pochyłości. Kilometrów 7 czy 8, nieco krążąc, szliśmy dość długo. Początkowo bardzo wolno, potem nieco prędzej.

Jasiek, żeby zasięgnąć języka, jako najprzyzwoiciej ubrany i nie potrzebujący ukrywać braku włosów na łysej głowie, podszedł do idącego gdzieś do roboty wieśniaka i gawędził z nim idąc.

Zbliżyliśmy się do miejscowości [Alwernia]. Na zalesionym wzgórzu widoczny był kościółek. Jasiek odszedł od wieśniaka, połączył się z nami i przyniósł wiadomość, że nazwa miejscowości, o którą nam chodziło, odpowiada w terenie temu, co widzimy wokół wzgórza z kościołem.

Lawirując polami doszliśmy do drogi, przy której stał urząd celny. Sama granica była dalej, na wzgórzu.

Była godzina 7. W urzędzie było już paru jakichś ludzi, którzy nam przyglądali się z odległości badawczo. My jednak przeszliśmy drogę w poprzek, potem strumyk jakiś, idąc mostkiem szliśmy dalej na oczach ludzi, starając się iść raźnie i wesoło. Doszliśmy wreszcie do zalesionego wzgórza i po wejściu na jego zbocze kilkadziesiąt metrów, upadliśmy na ziemię ogromnie zmęczeni.

I jakby na nas czekał – odezwał się dzwon z wieży kościoła, który był tuż, na szczycie pagórka.

„Trudno bracie, kochany Jasiu, musisz iść do kościoła. Ty wyglądasz najbardziej po ludzku i w kościele możesz być tylko ty jeden z naszej trójki, bo możesz chodzić bez czapki”.

Wysłałem więc Jasia do księdza [Słowiaczka], któremu miał powiedzieć o tym, że byliśmy razem, tak jak w piekle, z księdza bratem Franciszkiem i z brata dwoma synami: Tadkiem i Lolkiem[Słowiaczkiem]¹¹.

¹¹ Zamiast do Poręby, gdzie miał być ksiądz Słowiaczek, zablakani dotarli na plebanię w Alwerni, gdzie pomógł im ksiądz Jan Legowicz. Nakarmił ich i dał przewodnika na dalszą drogę, by mogli przekroczyć granicę między Trzecią Rzeszą a Generalnym Gubernatorstwem. W. J. Wysocki, *Rotmistrz*, s. 84; K. Pilecki, *Był sens walki i sens śmierci*, Bydgoszcz 1998, s. 72 n.